



Była noc. Rybacka chata nieopodal plaży trzeszczała cicho od nocnego wiatru, a słone, wilgotne powietrze wciskało się przez szpary między deskami.

– Śpisz? – spytał Paco.

– Nie... znowu jakoś nie mogę zasnąć. - odparł z przeciwnego końca izby jego brat Juan.

– Ja też. I mam w środku taką ołowianą kulę.

– Co...?

– No kula, tak jakby. Tak czuję. Siedzi tu, pod żebrami, jakby chciała mnie zgnieść od środka.

– ...ahhh, to ja też ją mam.

– Też?

– Mhm. To niepokój. Taki... lepki. Wiesz, ja się chyba po prostu boję.

– Czego?

– Nie wiem. Właśnie to jest najgorsze. - zamyślił się Juan.

Gdzieś daleko rozbijały się fale, ale szumiały inaczej niż zwykle. Pusto. Głucho.

– Słyszałeś kiedyś, żeby morze tak brzmiało? – zapytał Paco, wpatrując się w ciemność.

– Nie sądzę. Słyszać je jakby było dalej.

– Właśnie.

Obaj rybacy zamilkli. Przysłuchiwali się odgłosom z zewnątrz próbując wywnioskować, co się zmieniło.

– Nic to, może to z braku snu już umysł płata figle. Spróbujmy jeszcze zamknąć oczy.

– Od wielu dni proszę Morra żeby zesłał mi spokojny sen – odezwał się Juan.

– I?

– Nic.

Juan przełknął ślinę.

– Może my coś robimy źle?

Paco odwrócił głowę w jego stronę, choć i tak nic nie widział.

– A jeśli oni nas nie słyszą? – rzucił w ciemność Juan.

– Kto?

– No... oni, bogowie.

Konsternacja.

– Nie myśl tak.



– A co mam myśleć? Kiedy ostatnio wydarzyło się coś dobrego? Te świny w fikuśnych łaskach się nami nie przejmują, nigdy nie było inaczej, ale człowiek chociaż w bogach nadzieję miał. Teraz to już niczego nie ma. Ani nadziei, ani sprawiedliwości. Kapłani tylko wygrażają i straszą, dobrych ludzi na pokaz batożą...

– Przestań, tylko sobie biedy napytasz! – syknął Paco.

– No co, nie jest tak?

Deski pryczy jęknęły, gdy Juan położył się na wznak.

– Czuję się... jakbyśmy zostali sami – powiedział cicho Juan. – Jakby bogowie odwrócili wzrok.

Paco długo nie odpowiadał. – Albo... jakby coś innego zaczęło się gapić... – ciągnął dalej Juan.

– Nie strasz, nie strasz. – skwitował sennie Paco i odwrócił się na bok.

Wstali jeszcze przed świtem, jak zawsze. Zgarnęli sieci oraz wiosła i ruszyli do roboty. Gdy wyszli na plażę, uderzył ich niespodziewany widok. W szarym półmroku zobaczyli, że morze zniknęło!

Nie całkiem, ale cofnęło się tak daleko, jakby ktoś odsunął je ręką od brzegu. Setki metrów nagiego dna ciągnęły się aż po ciemną linię wody na horyzoncie. Ryby wiły się w błocie pomiędzy wielkimi płachtami glonów.

– Na bogów... – wyszeptał Paco chwytając się za głowę.

– Nie wołaj ich, i tak nie słuchają. – zachnął się Juan.

Wiatr ucichł nagle, a z oddali dobiegł dudniący dźwięk. Coś ogromnego pulsowało głęboko pod odsłoniętym dnem morza.

Obaj zamarli.

– Czujesz to? – zapytał Juan, przykładając rękę do mokrego piasku. Poczuł wyraźnie, jakby wyspa sama zaczęła miarowo oddychać.

Paco ścisnął rękojeść swojego noża, chyba tylko po to, żeby dodać sobie odwagi choć wiedział, że to bez sensu.

– Myślisz, że tak zawsze tu było?

– Ludzie różnie gadali... – odpowiedział Juan.

Znów coś zadudniło, tym razem dalej.

A potem woda zaczęła wracać ku brzegom.